

W TŁUMIE SIĘ GUBIE

Bycie fotografką freelancerką to dla mnie wolność. Fotografuję, co chcę, tak jak chcę, kiedy chcę, dla kogo chcę, i to jest dla mnie najważniejsze

Z ANNA BEATĄ BOHDZIEWICZ ROZMAWIA
ALEKSANDRA BOCKOWSKA

niedziela 14.06.87 - Pałac Kultury jeszcze



raz. Zupełnie inny.

4 listopada 2022 roku minęło 40 lat, odkąd prowadzi pani „Fotodziennik”. Co sfotografowała pani tego dnia?

– Stronę z książki „A World History of Women Photographers” (wydawnictwo Thames & Hudson) z moim zdjęciem i informacją o mnie i mojej twórczości. Oprócz zmarłej niedawno Natalii LL jestem jedyną współczesną polską fotografką, która znalazła się w tej encyklopedii.

Bycie fotografką, a nie fotografem jest dla pani ważne?

– Niespecjalnie. Oczywiście płeć w pewnych sytuacjach ma znaczenie. Czasem pomaga, czasem przeszkadza – różnie bywa. Pewnie ma wpływ na wybór tematów, stosunek do fotografowanego obiektu, ale nie myślę o tym zbyt często. Cieszy mnie to, że się znalazłam w tej książce. To już druga encyklopedia, w której jestem. W wydanej w latach 90. przez St. James Press „Contemporary Photographers” wymieniono mnie wśród 18 osób z Polski.

Była też pani jedną z bohaterek poświęconej fotoreporterkom książki i wystawy Moniki Szewczyk „Jedyne”. W tamtych rozmowach powraca wątek pobłażliwego traktowania przez kolegów. Mężczyźni długo w tym zawodzie dominowali. Jak traktują panią?

– Teraz już chyba inaczej, ale przez lata patrzyli nieufnie. Sądzę, że głównie dlatego, że zawsze byłam freelancerką, a to, dla kogo się pracuje, jest bardzo ważne. Ja nie miałam żadnej legitymacji, co w czasach PRL-u mogło budzić podejrzenia, że jestem na przykład ubeczką. Ci, którzy mnie znali, z lekceważeniem traktowali „Fotodziennik”. Są tacy fotografowie, nie podam ich nazwisk, którzy uważają, że ja w ogóle nie umiem robić zdjęć. To się zmieniło, bo może coś udowodniłam. Nie wiem. Nigdy się tym nie przejmowałam. Bycie fotografką freelancerką to dla mnie wolność. Fotografuję, co chcę, tak jak chcę, kiedy chcę, dla kogo chcę, i to jest dla mnie najważniejsze.

Przypomnijmy, czym jest „Fotodziennik, czyli piosenka o końcu świata”.

– To zdjęcia opatrzone krótkimi podpisami. Dawniej, na odbitkach bromowych, pisałam je ręcznie flamastrem, dzisiaj na wydrukach »

używam fontu przypominającego pismo maszynowe. Na wystawach moje podpisy były często usuwane przez cenzurę, co utwierdzało mnie w przekonaniu, że są bardzo ważne. Nadają zdjęciom sens.

O zdjęciach z Warszawy, Berlina i jeszcze kilku miast, które zebrane są w cyklu „Antypocztówki”, powiedziała pani, że są tak nieatrakcyjne, że aż ciekawe. To samo można powiedzieć o „Fotodzienniku”. Co jest ciekawego w nieatrakcyjności?

– To prowokacja wobec poglądu, że zdjęcie musi być atrakcyjne. Fotografuję życie codzienne. Ono czasami jest ciekawe, a często zupełnie nie – zależy, co jest dla nas ciekawym zdarzeniem. Dla mnie na przykład wydarzeniem jest, jak rano wrony przylecą pożywić się na moim balkonie. Jedna przylatywała przez lata, poznawałam ją po lekko zdeformowanym pazurze prawej nóżki. Czasami robiła mi awanturę, że śniadanie jeszcze niegotowe!

Potrafiłaby pani wybrać 10 ulubionych fotografii z „Fotodziennika”?

– Nie, to raczej niemożliwe, chociaż mam ulubione. Lubię chyba wszystkie moje zdjęcia. Po latach dziwi mnie, co sfotografowałam i że jest tego aż tyle. Zakładając, że w ciągu roku włączam do „Fotodziennika” około 200-250 zdjęć, jest ich już pewnie z 10 tysięcy. Mam spis zdjęć w komputerze, ale nie wszystkie są w odbitkach. Odbitki i wydruki w formacie 21x21 centymetrów trzymam w albumikach. Zajrzałam do zdjęć z 2010 roku. Jest tam na przykład sekwencja 52 zdjęć po katastrofie smoleńskiej, a potem dużo pojedynczych z różnych związanych z tym wydarzeń, poza tym dużo otaczającej mnie rzeczywistości. O wielu zdarzeniach zupełnie zapomniałam! Ciekawa opowieść!

O, a tu zdjęcie, jeszcze bez podpisu, sprzed dwóch dni – Tomasz Lis ze swoim psem. Na mojej ulicy często zaczepiam ludzi z psami. To na ogół starsze panie, dla których psy są jedynymi towarzyszami w ich samotności. Wzrusza mnie to. Zresztą na punkcie psów mam fiksację, lubię je fotografować. W ogóle ciągle fotografuję. To się samo robi, gorzej, że potem trzeba zdjęcia wybrać, zarchiwizować, podpisać. Dużo przecież robi się chłamu, który trzeba eliminować. Jak mawiał Krzysz-



poniedziałek 28.04.86 – Koniec XX wieku. Kładenie asfaltu w Europie Środkowo-Wschodniej.



środa 26.12.84. – Mam bardzo smutne śniata. To szopka przy kościele śp. Księża Popietuszeki (według projektu Jerzego Kaliny).



listopad 1989 – Ostatnie chwile pomnika Feliksa Dzierżyńskiego. Na razie wygląda jakby Feliks miał zostać tylko pomiesiony...



październik 1990. Prywatny interes. Sprzedaż biletów autobusowych.



Październik 1990. Sprawa aborcji wraca do Sejmu

tof Kieślowski: „Kill the most beautiful babies”, wyrzucajcie najlepsze ujęcia. Coś w tym jest.

Skończyła pani etnografię, pracowała jako drugi reżyser przy filmach, między innymi z Kieślowskim. Jak to się stało, że wybrała pani fotografię?

– Nie wiem. Zdecydował 1981 rok, chociaż robiłam zdjęcia dużo wcześniej. Porządkując teraz negatywy, znalazłam zdjęcia ludzi KOR-u z czasów, zanim powstał. Przez moją przyjaciółkę z liceum poznałam Janka Lityńskiego i wielu opozycjonistów. Jeździłam z nimi na pikniki, chyba pod Otwock, i stamtąd właśnie mam sporo zdjęć: Jacek Kuroń siedzi i coś pisze, Adam Michnik naradza się z Antonim Macierewiczem. Najpierw po prostu się spotykaliśmy, a potem wynikała z tego robota.

Już wtedy, jak pokazuje archiwum, nosiłam ze sobą aparat, ale na pewno nie miałam jeszcze takiego imperatywu, że koniecznie muszę robić zdjęcia. W latach 70. fotografowałam stare kamienice na Woli i w Śródmieściu, fascynowały mnie. Stare jest fotogeniczne – czy to kamienice, czy drzewa, czy ludzie.

Pierwszą wystawę miałam w 1974 roku w pracowni mojej cioci.

Zofia Demkowska, siostra pani mamy, była rzeźbiarką i medalierką. Wydaje się, że miała duży wpływ na pani życie.

– Tak, zawsze mnie wspierała w moich poczynaniach artystycznych. Wszyscy w mojej rodzinie byli artystami. Tata – reżyser

filmowy, mama – tłumaczka literatury, babcia – aktorka. Ojciec nauczył mnie widzieć. Kiedy szliśmy razem ulicą, pytał: „Widziałas?”. Co? Nic nie widziałam. Zaraz robił awanturę, jak to możliwe! Nauczyłam się i dzisiaj widzę dużo – coś leży na chodniku, napisy na murach, dziwnie ubraną osobę. Mama zawsze powtarzała, że trzeba mieć „własny sklepik”, czyli być niezależną. Ojciec, kiedy mógł, zabierał mnie za granicę. Ciocia pierwsza zobaczyła, że moje zdjęcia to coś więcej niż pstrykanie. Kiedy wymyśliłam serię „Kwiaty” – zasuszone rośliny traktowałam jak negatyw – zbierała i suszyła dla mnie liście i kwiaty. W stanie wojennym w skrytce u niej w pracowni przechowywałam negatywy i zdjęcia. Miała zresztą bystre oko również w sprawach życiowych. Na jej wystawę w Poznaniu pojechałam z moim przyszłym mężem. Ciocia pytała: „Co on się tak do ciebie przyczepił?”. Z czasem bardzo się polubili, mają trochę podobne charaktery.

Od młodości wyjeżdżała pani za granicę. Nie było pokusy, żeby tam zostać?

– Sporo się napodróżowałam w dzieciństwie i w młodości, ale zawsze lubiłam wracać do siebie, do domu! W 1968 roku tata był w jury festiwalu filmowego w Wenecji, pojechałam tam z nim. Wcześniej wysłał mnie do Francji. Moja babcia ze strony mamy, aktorka Walentyna Miedwiediew, była Rosjanką i miała pięciu braci. Rewolucja październikowa rozgoniła ich wszystkich po świecie. Babcia w 1920 roku wyszła za Polaka »

i przyjechała tutaj. Jeden z jej braci, dziadek Sasza, wylądował w Tunezji, a kiedy Tunezja przestała być kolonią francuską, zamieszkał z rodziną we Francji, w okolicach Poitiers.

I tam właśnie, w 1964 roku, pojechałam jako nastolatka. Tata napisał mi w małym notesiku instrukcje, co mam robić, jak wylądować, czym dojechać do centrum Paryża itp. Ja oczywiście wszystko pokręciłam, zgubiłam się na lotnisku, ale w końcu jakoś dotarłam do terminalu autobusowego na placu Inwalidów, skąd miał mnie odebrać wuj. Przyszedł spóźniony, bo przedłużyła się konferencja, na której był tłumaczem symultanicznym. Nakarmił mnie, wsadził do pociągu, którym – z przesiadką – dojechałam do miasteczka, gdzie już była na wakacjach rodzina. Spędziłam tam chyba trzy tygodnie. Potem był Paryż. Wujostwo mieszkało przy południowej obwodnicy, dość daleko od centrum. Pierwszy raz mieszkałam w wieżowcu, na jedenastym piętrze! Jeździłam do miasta i zwiedzałam wszystkie muzea. Kiedy któregoś dnia ze studentami ojca spędziłam cały wieczór w Dzielnicy Łacińskiej, poczułam Zachód. Że ludzie sobie siedzą w kafejkach, spacerują, pełen luz. Ale byłam jeszcze za smarkata, żeby myśleć, czy ja bym chciała tam zostać.

Parę lat później spędziłam rok w Londynie, pracując w szpitalnej stołówce. Gdybym chciała, mogłabym zostać. Jednak wróciłam do Polski. Cioran pisał, że trzeba żyć w swoim języku. Dobrze znam francuski i angielski, czasami chodziły mi po głowie myśli o emigracji, ale ostatecznie okazywało się, że bez języka polskiego nie byłabym u siebie.

U siebie to znaczy w swoim języku?

– Tak. Obco można czuć się wszędzie, dzisiaj w Polsce też. Ale trzeba być w swoim języku.

Dorastanie w artystycznej rodzinie kształtuje na przyszłość.

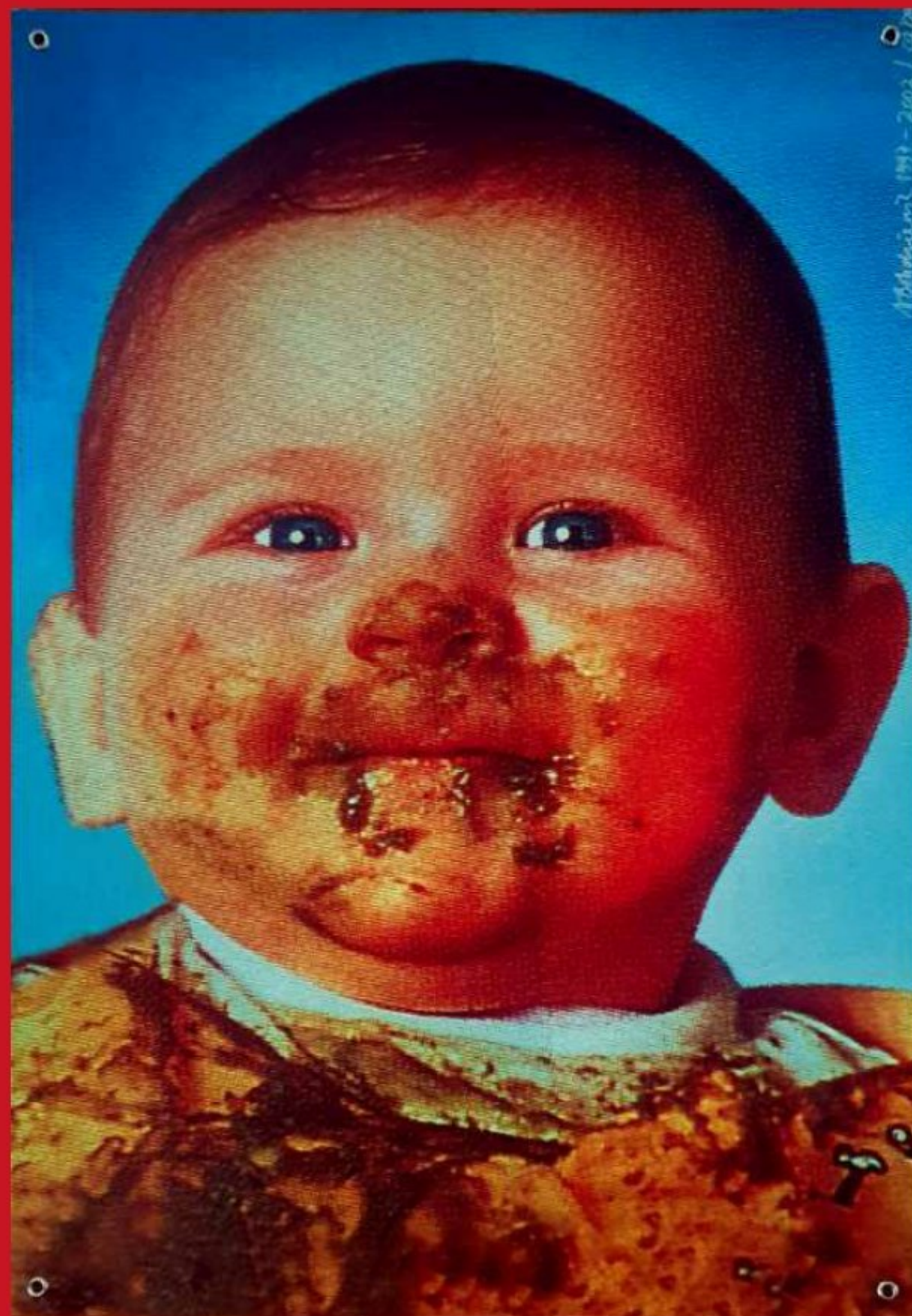
– Zajmuję się teraz porządkowaniem archiwum, ale prawdę mówiąc, najchętniej bym leżała i czytała książki. Niedawno kupiłam wszystkie tomy Białoszewskiego i nie mogę się odebrać. Lubię czytać dzienniki i listy. Ostatnio przeczytałam korespondencję Kisielewskiego z Giedroyciem. Bardzo ciekawe! Kisielewskiego trochę znałam, przyjaźnił się z moim ojcem.

Urodziłam się w Łodzi, tam spędziłam pierwsze lata. Pod oknami były szerokie parapety, a poniżej półki, na których stały albumy o sztuce. Siadałam na podłodze i je przeglądałam. Dobre malarstwo zostało mi w oczach na całe życie, ukształtowało mój sposób widzenia świata. Oglądane wtedy obrazy spotykam w muzeach i natychmiast rozpoznaję – są „moje”!

Namiętnie też słuchałam radia. Karmiono mnie zdrowo, na przykład kaszą krakowską, której nienawidziłam. Siedziałam więc czasem nad talerzem godzinami, a obok grało radio. Takie starego typu, z oczkiem i okrągłą siateczką. Na politykę byłam wyczulona od wczesnego dzieciństwa i rezultat był taki, że budowałam z klocków wydarzenia polityczne – wiece, na których przemawiał Gomułka. Jako nastolatka prowadziłam rysunkowy dziennik – dzieliłam stronę w zeszytach na kwadraty, rysowałam scenki i je podpisywałam. Proszę zobaczyć. Jemy śniadanie, a ja zapisuję: „Uroczyste śniadanko, »

Prace z serii „Piękni i szczęśliwi – znajomi z billboardów” 1979-81 r.





kurczaczki, będzie po obiedzie spanko”. Albo: „Rano spanie do 10.00, jak święto to święto, tylko raz do roku”. Data: 22 lipca. Zatyłowałam tę stronę: „dwudziestolecie”. Wtedy było to tak oczywiste, że nie musiałam dodawać, że chodzi o najważniejszą w PRL-u rocznicę. W wakacje rysowałam i notowałam: „Pływamy coraz lepiej, morze spokojne, spokojniutkie. Jedne facetki poderwały Węgrów, grali razem w piłkę”.

Rówieśnicy panią lubili?

– Nie zastanawiałam się nad tym. Zanim poszłam do szkoły, mama wysłała mnie na Bukowinę, bo byłam chorowita. Spędziłam tam trzy lata, było bardzo fajnie. Wróciłam już do Warszawy. Mama w tym czasie wychodziła mieszkanie w kamienicy przy Wiejskiej. To jest dom, gdzie dostawali mieszkania ludzie kultury, ale lepiej ustawieni niż mój ojciec, który był nonkonformistą, zawsze miał z władzą na pieńku. Mamie jednak się udało i od 1960 roku jestem warszawianką. Często zmieniałam szkoły, miałam tylko dwie czy trzy przyjaciółki. A reszta? Nie wiem, skąd to się wzięło, ale nigdy nie przejmowałam się za bardzo cudzymi opiniami. Zawsze miałam w głowie swój świat.

Może dobrze pani o sobie myśli?

– Mam dużo zastrzeżeń do własnej osoby, ale jednocześnie nie dotyka mnie, kiedy ktoś mi mówi, że coś robię nie tak, dlaczego taka jestem. Taka jestem, bo taka jestem. Nigdy nie doskwierała mi samotność. Choć bycie osobą niezależną często jest odbierane jako wywyższanie się. Ludzie tego nie lubią.

Zaangażowała się pani w opozycję. Również fotograficznie?

– Nie robiłam zdjęć na demonstracjach, jeśli to z ukrycia, z jakichś mieszkań. Gubię się w tłumie. Pamiętam którąś z papieskich pielgrzymek, to był Kraków albo Częstochowa, chciałam podejść jak najbliżej ołtarza. Musiałam się przeciskać przez tłum, zajęło mi to ze 20 minut i było ciężkim przeżyciem. To już nie był czas wielkiego zjednoczenia, fotografka z akredytacją budziła raczej reakcje: „Co się pani pcha”. Dzisiaj zresztą też unikam manifestacji, bałabym się po prostu policji. Byłam związana z opozycją od lat 70., ale niestety nie uwieczniłam tego. Próbowałam robić dodatek fotograficzny do „Tygodnika Mazowsze”, ale się nie udało. Wyszły chyba tylko trzy numery.



W latach 80. naświetlałam klisze drukarskie „Tygodnika Mazowsze”, robiłam kilka kopii i rozwoziłam je pod wskazane adresy. Gdyby mnie złapano, na pewno groziłyby mi konsekwencje, ale miałam dużo szczęścia. Możliwe, że byłam po prostu ostrożna.

Podchodzi pani blisko do ludzi, robi im portrety. Jest strach?

– Zawsze trochę się boję, ale strach trzeba umieć pokonać. Kiedyś tego nie robiłam, ale dziś pytam ludzi, czy mogą zrobić zdjęcie. Oni się dziwią: „A po co?”. Wtedy tłumaczę, że prowadzę taki zapis osobisty, ale i historyczny, albo że coś w danej osobie mi się podoba. Raz nie zapytałam, zrobiłam zdjęcie dziwnej kobiecie, która stała przy stacji metra Centrum, ona to zauważyła, podeszła i uderzyła mnie w twarz. W sumie miała rację. Osób w jakiś sposób skrzywdzonych przez los raczej nie fotografuję, ale w głowie mam sporo takich kadrów.

Powiedziała pani: „Robiąc zdjęcie, czuję jak pod palcami przepływa czas”. Czym robi się zdjęcie?

– Fotografia to „cięcie przez czas”, a ten ucieka – jak go nie złapiesz, to zdjęcie jest stracone. Zdjęcia oczywiście robi się

jakimś sprzętem. Edward Hartwig, z którym przeprowadziłam kiedyś wywiad, nie szanował specjalnie sprzętu, był on dla niego w pewnym sensie obciążeniem. Aparaty dużego formatu, a takich głównie używał, były naprawdę ciężkie! Dla mnie sprzęt nigdy nie był bardzo ważny. Używałam aparatów małoobrazkowych – miałam dwa korpusy i kilka obiektywów, teraz robię zdjęcia telefonem. Albo, nierzadko, jedynie oczami.

Kiedy portretowała pani uczestników zjazdu „Solidarności” w hali Olivii, poznała pani męża.

– Twierdzi, że wypatrzył mnie z balkonu. Zaczepił mnie w parku, wyrwał torbę ze sprzętem, chociaż nie była zbyt ciężka – miałam może dwa aparaty i trzy obiektywy – i zaczął ją za mną nosić. Potem musiał wyjechać, ale odnalazł mnie w Warszawie i jesteśmy razem 42 lata. Stworzyliśmy dużą rodzinę, mamy sześcioro wnuków w Warszawie i Krakowie. Zosia, najmłodsza wnuczka, jest ulubienicą dziadka.

A pani jest kochaną babcią?

– Trzeba by ich spytać. Franio, brat Zosi, powiedział mi ostatnio, że jestem stara i brzydka. Więc może nie jestem aż tak kochana... »



Leszek Kołakowski. Po 20 latach z wizytą w Polsce, 1988 r.



Zdjęcia roślin z serii „Kosmos”, 1981 r.

Porządkuje pani archiwum w jakimś celu?

– Piszę teraz „Foto-Auto-Bio”, czyli autobiografię z dużą liczbą zdjęć. Spisuję je wszystkie, opisuję negatywy, muszę to jakoś ogarnąć.

Sama?

– Oczywiście! Negatywów się nie wypożycza – to święta zasada.

Ile ich pani ma?

– Niech pani nie pyta! Nie wiem!

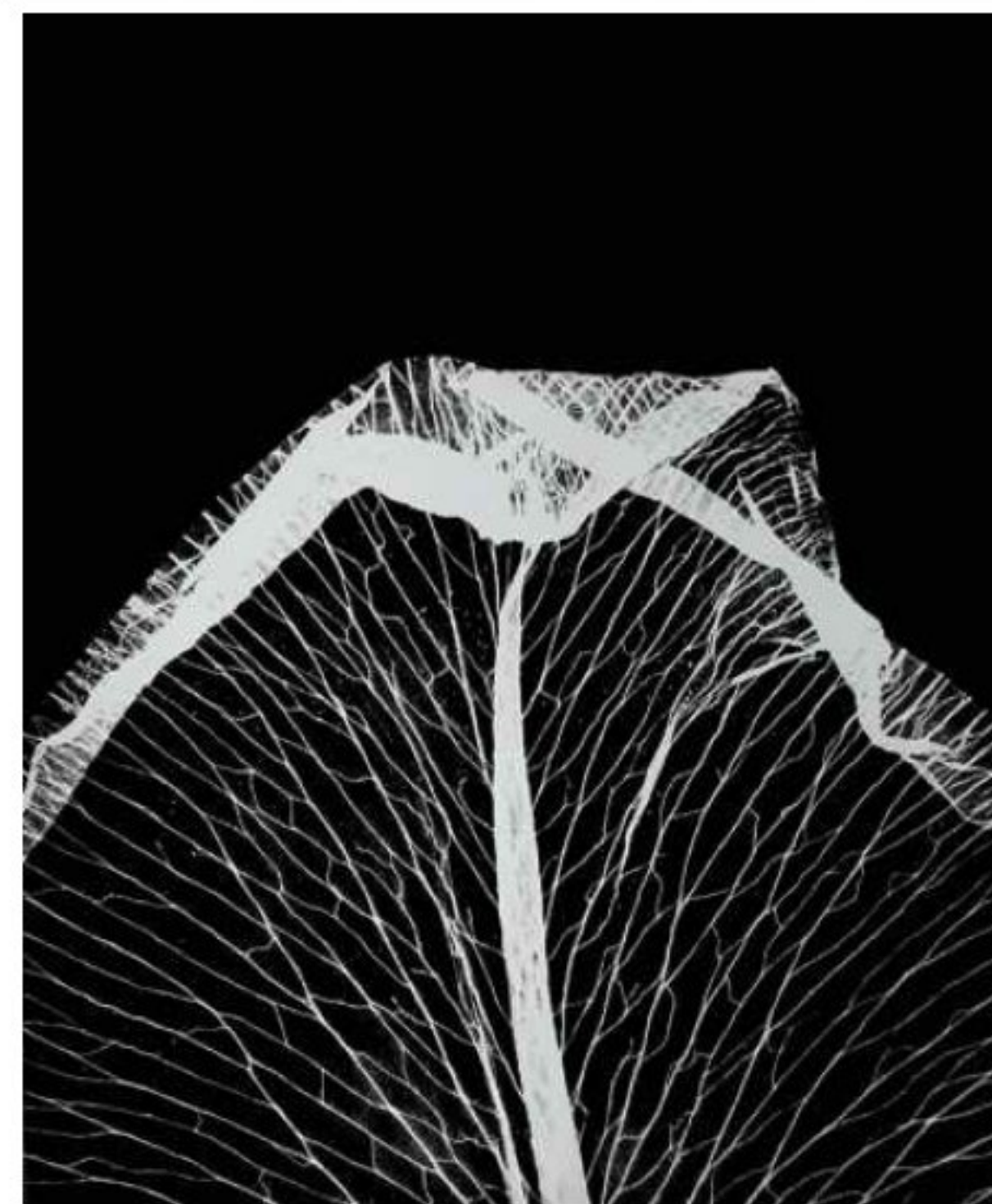
„Fotodziennik” trochę mnie przytłacza. To przecież zupełnie szalony projekt. Szukałam w internecie podobnych projektów tak długo realizowanych. Nie znalazłam. Wygląda na to, że jestem jedyną na świecie osobą, która robi coś takiego! Ale może tak nie jest, mam nadzieję. Trudno mi nad „Fotodziennikiem” zapanować, często jestem zmęczona. Mam zaległości w wydrukach, w podpisach. Nie noszę już aparatu, robię zdjęcia telefonem, to takie łatwe, więc jest ich pewnie jeszcze więcej. Na szczęście moje życiowe doświadczenie nie pozbawiło mnie pewnej naiwności – ciągle coś mnie dziwi, ciągle coś zachwyca.

Kiedy „Fotodziennik” powstawał, dodała pani podtytuł „Piosenka o końcu świata” z wiersza Czesława Miłosza. Dziś ten koniec świata wydaje się bliższy.

– Miłosz napisał ten wiersz w czasie wojny, w 1943 roku. Jest o tym, że nie wszyscy go zauważają.

„A którzy czekali błyskawic i gromów/ Są zawiedzeni/
A którzy czekali znaków i archanielskich trąb/ Nie wierzą
że staje się już/ Dopóki słońce i księżyc są w górze/ Dopóki
trzmiel nawiedza róże/ Dopóki dzieci różowe się rodzą/ Nikt
nie wierzy/ Że staje się już ” – pisał.

Jesienią 1982 roku ten tytuł był przerośniętym. Dzisiaj to bolesna realność. ♦



*Anna Beata
Bohdziewicz*

– fotografka, kuratorka, autorka tekstów o fotografii. Jej najsłynniejszy cykl to „Fotodziennik, czyli piosenka o końcu świata” (prowadzony od 1982 r.). Od 1997 r. pracuje nad cyklem „Antypocztówka” – to zdjęcia z Warszawy, Berlina, Cannes, Jerozolimy, Pekinu. Jest laureatką wielu nagród, m.in. Rady Artystycznej ZPAF za najlepszy debiut (1985) i Niezależnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (1987). Otrzymała Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski za zasługi na polu fotografii niezależnej (2007) z rąk prezydenta Lecha Kaczyńskiego